

Transport wodny wspomaga nie zawsze sprawnie funkcjonujący przewóz drogowy czy kolejowy i w związku z tym reportaż o flisakach z Puszczy Piskiej („Trybuna Ludu”, nr z 19 VI 83 r.) — (...) Leśne drogi rozjeżdżają ciężkie samochody. Oczekiwana pomoc przysłała z Jarocina i Katowic. Szkoda, że tak późno. Gdyby chociaż tydzień wcześniej ryzyko byłoby już mniejsze, leśnicy spokojniejsi. Ciężarówki z dłużyca suną powoli w stronę jezior na wydzielone miejsca gdzie spławia się drzewo — na bindugi. Mężczyźni o twarzach ogorzałych wiatrem i rękachznaczonych bruzdami spławiają grube kłocce. Ociosane pachną jeszcze żywicą. Flisacy spychają je w wodę, łączą skoblami i stalową liną w „tablice”. Uszeregowane w pasma pociągnie holownik do tartaków w Rucianem i Okartowie. Podziw dla mazurskiej urody romantyzmu w zmaganiach z przyrodą, surowości pracy innej od przemysłowej monotonii zachowuję dla siebie. Dla ludzi w zielonych mundurach, drwali, kierowców czy flisaków wszystko jest zwyczajne. Goni robota. Wyciąg z każdą godziną, każdą partią pozyskiwanego i wywożonego drzewa. Już wiem, że nie tylko o akordowy zarobek lecz o ratowanie puszczy Naszej dodają i to słowo staje się kluczem. Pomaga rozumieć zwyczajnych do twardego życia, trochę milkliwych i nieufnych ludzi tak mocno związanych z lasem i wodą jak z bliskim przyjacielem (...).

Między drzewami zgrabnie lawiruje ciągnikiem kierowca Franciszek Sulewski, któremu pomagają Antoni Jabłoński i pilarz Stanisław Smaka. Zrywka idzie gorzej niż przy planowym wyrębie. Rękoma, łopatą usuwają ziemię spod korzenia sosny, która ani drgnie. Okręcona łańcuchami wreszcie daje się wyciągnąć. Skarżą się na te łańcuchy, które pękają i sypią się, zdadne bardziej do obory niż lasu. Przytakuje, że praca ciężka, niebezpieczna ale tak naprawdę są zakłopotani. O czym mówić gdy wszystko jasne — jest pilna robota, trzeba ją wykonać. Proste. Może sprawiły to lata obcowania z przyrodą, której nie da się oszukać a jej surowym prawom muszą podporządkować się ludzie?

„Praga” Franciszka Łoszewskiego, który zapewnia, że woli prowadzić sto samochodów niż zbić chociaż jedną „tablicę”, skręca na bindugę. Dały mu w kość trzy lata flisackiego fachu. Robota to dla twardych, zahartowanych, przywykłych do trudów, fizycznego wysiłku, godzących się na życie bez wygod, luksusów i sprytnych — wyklada całą filozofię flisactwa młody bindugowy Antoni Dardziński. Lubieć las, nie bać się wody i liczyć na siebie.

Ma sześcioro ludzi. Czy wszyscy są tacy? Na bindudze nad jeziorem Seksty podobnie jak na innych przeważają sezonowi. Chłopi, którzy przy spławie szukają dodatkowego zarodku, a także oddelegowani służbowo do pomocy inni pracownicy Składnicy Lasów Państwowych. Giną tradycje jeziernego flisactwa. Flisaków z prawdziwego zdarzenia zostało zaledwie kilku. Nie ma następców Mazurów, którzy od wieków byli przy spławianiu drzewa, niewielu przejmie umiejętności Wincentego Głąba (od roku na emeryturze), Antoniego Nicewicza, czy Józefa Stepnowskiego „cygana” z wozu „Drzymały” nad jeziorem, choć dom rodzinny ma w Ostro-

wi Mazowieckiej. Co będzie gdy i oni odejdą? Czy tacy jak Dardziński przejmą pałeczkę?

Na bindugę trafił prosto z wojska, by zostać blisko ojcowskiej osady. Tu się wychował, poznał las i wodę. Przyszedł chociaż inni się nie pchają, bo niebezpiecznie na wodzie i przy zrzućaniu drzewa kloc może zaczepić. Chciał się nawet zwalniać, ale teraz nie chce o tym słyszeć. Na brzegu jeziora tańczy nad 15-metrowym świerkiem nieduży „Ursus”. Po cyrkowych ewolucjach kierowcy Jana Dardzińskiego, starszego brata Antoniego — blisko dwutonowy pień zanurza się w wodę. W długich gumowych butach, zanurzeni prawie po pas w jeziorze flisacy zbijają „tablice”, inni gotowe tratwy odprowadzają z zatoczki. Daleko od brzegu trzech na łódce zamyka „oborę”, która oddzieli pływające drzewo od jeziora. Z tym bywa jednak różnie. Dopiero co kłusownicy otworzyli zagrodę, drzewo wyszło aż pod półwysep. Zbierali do późnej nocy.

Mała polanka przypomina już tartaczne składowiska, „Pragi” sypią dłużycą. Będzie jej z 500 m sześciennych na flisacki język — 50 „tablic”. Nie inaczej wyglądają bindugi Lipa, Lasek, Drapacz czy Bobrowa. Na Lipie kłocę ściągają końmi. Robota idzie sprawnie, Antoni Nicewicz 18 rok przy spławie i Krzysztof Opolski młody rolnik z pobliskiej wsi. Wiatr nie spycha drzewa z powrotem do brzegu. Jest w tej pracy coś z przygody, jest ryzyko i zmaganie się z każdą sztuką drzewa.

Na mapie z Lipy do Rucianego wydaje się tuż tuż. Łądem zaledwie 10 km — wodą 25 km. W jeden dzień odprawiają tablice do tartaku. Nidzkie jest spokojne, za to Śniadrwy. O przygodach z konwojowaniem drzewa przez Beldany i Śniadrwy do odległego o 66 km tartaku w Okartowie nasłuchałem się niemało. Jak w pięć minut zmienia się pogoda, fala przelewa nad głową, rozbija tablice i spycha w trzcinny. Nie raz przyjdzie skąpać się w jeziorze. — Ale wody nie można się bać, swój chrzest bojowy każdy musi przejść. Dzieli się tajemnicami flisackiego fachu Wincenty Głęb. Szkoda jednak, że zapominają one dziennikarski notes a stary flisak nie ma następców.

— Nie jest tak źle — pociesza bardziej siebie niż mnie. — Dopóki będą drzewo spławiać, dopóty będą flisacy. Może zmieni się na lepsze. Podnieśli stawki, robota na powietrzu, ustawiana według siebie i dająca niezły zarobek też się liczy. Ja sobie chwaliłem, nie narzekałem (...).